

Historia o polskich gangsterach autorki  
okrzykniętej królową romansów mafijnych!

# SPRAWA RITTY

ANNA WOLF



Copyright ©

Anna Wolf

Wydawnictwo NieZwykłe

Oświęcim 2021

Wszelkie Prawa Zastrzeżone

Redakcja:

Kamila Reclaw

Korekta:

Justyna Nowak

Edyta Giersz

Redakcja techniczna:

Mateusz Bartel

Przygotowanie okładki:

Paulina Klimek

[www.wydawnictwoniezwykle.pl](http://www.wydawnictwoniezwykle.pl)

Numer ISBN: 978-83-8178-549-5

**ANNA WOLF**

# **SPRAWA RITY**

**OŚWIĘCIM 2021**



## Prolog

Spoglądam na wodę i zastanawiam się, czy wszystko potoczyłoby się tak, a nie inaczej, gdybym był zupełnie inną osobą. Pierdolić to, jestem kim jestem i nie zmieniłbym tego. Mam władzę, kasę i kobiety, chociaż to ostatnie, to już nie jest w liczbie mnogiej

– Szefie – podchodzi jeden z moich chłopaków – chyba na nas już pora.

– Nie chyba, ale na pewno. – Wstaję i klepię go po ramieniu. – Jedziemy i nie spierdolicie mi tego, Ryży – ostrzegam go, bo odpowiada za moich ludzi. On jest prawą ręką.

– Nie ma takiej opcji.

Mam jedną prostą zasadę, która mówi, że nie ma ludzi niezastąpionych, a skoro nie ma, to znaczy, że i Ryżego mogę wymienić. On o tym doskonale wie, tak samo jak cała reszta. Oni wszystko wiedzą. Spieprzą, wylatują – tylko czasem kończą dwa metry pod ziemią. Życie nie zna liłości. Ze mną też się nikt nie cackał. Na wszystko, co mam, zapracowałem sam. Czasem idę po trupach do celu, ale te trupy same sobie wybrały taki los.

Przed wyjściem spoglądam na bawiące się towarzystwo. Oficjalnie cały czas będę na przyjęciu weselnym znajomych, co daje mi w razie czego doskonałe alibi. Teren jest tak rozległy, że musieliby mnie tu szukać godzinę albo dwie. A to zapewnia mi idealny czas na przeprowadzenie mojego planu. Ten zaś zakłada, że wszyscy będą myśleć, że kręcę się tutaj, a w rzeczywistości będę zupełnie gdzieś indziej.

- Auto? – dopytuję.
- Stoi za bramą.
- Idealnie.

Próbuję wymknąć się niepostrzeżenie, ale zapomniałem o jednym drobnym szczególe, który właśnie zmierza w moją stronę i wygląda obłądnie w sukience od Dolce. Uśmiecha się, ale jej uśmiech powoli gaśnie, kiedy dostrzeżę, kto stoi obok mnie. Przed nią nic się nie ukryje, za dobrze mnie zna.

- A można wiedzieć, gdzie się wybierasz? – pyta z tą swoją miną kata.

- Interesy, kochanie – odpowiadam.
- Chcę wiedzieć?
- Nie, bo zdajesz sobie doskonale sprawę, czym się zajmuję.
- Ale dzisiaj? Poważnie, Czarny?
- Kochanie – ujmuję delikatnie jej twarz w dłonie i przesuwam kciukiem po policzku – to interesy, przecież wiesz.
- Wiem, ale sądziłam, że ten weekend będziemy mieć dla siebie.
- Wynagrodzę ci to – obiecuję jej.
- Tak łatwo się nie wykpisz. Tym razem pierścionek ani żadne świedelko ci nie pomogą, więc postaraj się lepiej.
- Kocham cię – szepczę. – Wrócę za kilka godzin.
- Dobrze. Uważaj na siebie, proszę.
- Zawsze uważam.

Całuję ją szybko i delikatnie w usta, po czym wymykam się niepostrzeżenie z przyjęcia i wsiadam do mojego czarnego jeepa, żadnej tam limuzyny. Nie lubię wozić się niczym bogaty duppek. Może i mam pieniądze, a zapewne jestem też dupkiem, ale samochód powinien oddawać mój

charakter, a jeszcze nie zdiadziałem tak, by jeździć autem dla staruchów. Może kiedyś, może...

Odpalam silnik i ruszam, zostawiając za sobą przyjęcie z morzem gości oraz moją kobietą, która jest niespodzianką, jaka mnie kiedyś spotkała na granicy. Długa historia. Liczę, że w tłumie dwustu osób łatwo się zgubić i nikt nie będzie mnie szukał. Hotel jest ogromny, tak samo jak teren wokół, łącznie z jeziorem, które kryje pewne nikomu nieznanne tajemnice. Oczywiście ja się do tych osób nie zaliczam, bo wiem, że na dnie leży kilka ciał zapewne od dawna uległych rozkładowi. Skąd mam tę wiedzę? Sam je tam umieściłem, dawno temu. A czy zabiłem? Tego nie zdradzę nikomu. Pewne rzeczy zabiorę ze sobą do grobu.

– O której przyżywa statek? – pytam, gdy zmierzamy do celu, a między drzewami goni nas księżyc.

– Za pół godziny.

– Idealnie na czas. Nie chcę żadnych niespodzianek, jak ostatnim razem. Zapłaciłeś glinom?

– Dostali swoją działkę za milczenie.

– Przekupne psy.

– Jak każdy, szefie.

*Oj, Ryży, Ryży, jak ty mało wiesz o pewnych sprawach.*

– I tutaj się mylisz. – Skręcam w lewo i spoglądam na towarzysza. – Nie każdy.

– Cholera, to ja nikogo takiego prócz nas nie znam.

– Nie znasz? – dopytuję. – Powiedzmy, że wydaje ci się, że nie znasz.

– Założmy, że tak jest. Ja tu tylko sprzątam.

– To też się zgadza – potwierdzam.

Czasem nienawidzę tej roboty, ale teraz już nawet bym tego nie zmienił. Owszem, mam legalnie działający biznes,

ale to wyjście awaryjne, które może i przynosi forszę, ale kokosy zarabiam na czymś zupełnie innym.

Spoglądam na zegarek, który wskazuje pierwszą w nocy. Ruch znikomy, ale psy nigdy nie śpią. Właśnie mija nas jakiś patrol policji, co nie robi na mnie większego wrażenia. Nie jestem stąd. Nie znają mnie, poza tym dokumenty też mam fałszywe. Przewrotny zawsze ubezpieczony.

Podjeżdżam do portowej bramy, kiwam do faceta, który też dostał niezłą działkę za wpuszczenie nas tutaj i za milczenie. Powiedzmy, że wie, co się z nim stanie, jeśli nas sypnie.

– Czysto – odzywa się Ryży.

– Okej.

Parkuję przed budynkiem, żeby nie musiał ruszać dupy, za leniwy się chyba już zrobiłem, a może jestem taki od dawna? Poza tym wolę mieć auto pod ręką, bo niby wszystko ustalone, ale nie lubię niespodzianek. W razie czego samochód i tak ma fałszywe tablice, więc jestem kryty.

Wysiadam, czując spluwę pod pachą. Na co dzień jej nie noszę, ale przy tego typu sprawach, lepiej mieć przy sobie broń. To mój anioł stróż z ostrymi nabojami.

Powietrze ma specyficzny portowy zapach, a lekko wiejący od wody wiatr niesie również tę woń. Przeczesuję dłonią włosy, rozglądam się i dostrzegam w busie chłopaków, którzy czekają na towar. Wysiadają i ruszają w kierunku rzędu równo ustawionych kontenerów. Sprawdzam numer tego oznaczonego, gdzie mają być ukryte prochy.

– Otwierać – nakazuję moim ludziom, a sam czekam.

Otwierają kontener, w którym czeka na mnie mój prezent. Ale pierwsze, co widzę, to nie mój towar. To coś zupełnie innego.



– Powiedz, że mam, kurwa, przywidzenie i on nie jest pusty – warczę do Ryżego. – Że tam jest towar, a ja mam jakieś pierdolone zwidy! – drę się.

– Nie masz, szefie.

– Właśnie tak, kurwa, myślałem. Jedziemy – cedzę i ruszam w kierunku samochodu.

Wsiadamy, Ryży zajmuje miejsce pasażera, a reszta chłopaków pakuje się do busa, po czym wyjeżdżamy z tego pierdolonego portu. Właśnie ktoś mnie wychujął, a ja bardzo tego nie lubię, więc będzie wisiął jajami do góry, kiedy się dowiem, kim jest.

Gdyby nie to, że Klara jest na przyjęciu, nawet bym tam nie wrócił, tylko pojechał prosto do Lublina.

– Kurwa! – Wałę pięścią w kierownicę. – Wiesz, Ryży, co będzie?

– A co?

– Dowiecie się, kto zajebał towar, a później my go zjemy. Pół tony koksu, to nie pierdolone pięć gram.

– Jasne, podzwonię jeszcze dzisiaj, kiedy wrócimy.

– Bardzo dobrze. Dowiedzą się, kto rządzi w naszym mieście. Mieście dziwek i sprzedajnych suk.

# Rozdział 1

## Czarny

Nigdy nie siedziałem i nie zamierzam, co nie znaczy, że pewnego pięknego dnia, nie wpadną tutaj psy i mnie nie zakują w kajdanki. Oczywiście, jeśli coś na mnie znajdą. Nie wychyłam się, robię swoje bez zbędnego hałasu. Jak kraść, to po cichu. Chociaż ja raczej bym powiedział, że to pożyczka, tylko że bezzwrotna. Tak też można.

– Czarny – do biura wchodzi mój człowiek – zdaje się, że mamy zlecenie.

– Co tym razem, Ryży?

– Przyszło dzisiaj.

Podaje mi telefon, który jest nie do namierzenia. Nie jestem głupi, dzięki temu wciąż mogę swobodnie oddychać. Odczytuję SMS i uśmiecham się. Towar ma przyjechać i to całkiem niedługo. Nikt z moich ludzi nie ma dostępu do takich informacji, chyba że im powiem. Oczywiście zajmuję się różnymi branżami biznesu. Przerzut aut, narkotyki i takie tam.

– Sześć aut, mamy jeden dzień na przerzucenie ich na drugą stronę – informuję go.

– Jedziemy, czy...?

– Jedziemy – odpowiadam. – Samochody będą jutro w Polsce. Musimy je tylko odebrać i dostarczyć za wschodnią granicę, a dalej to już nie nasz problem.

– Ale to nigdy nie jest, kurwa, tylko.

– Cykasz?

- Nie, ale akurat nie lubię tej części.
- Wiem, ty wolisz, jak inni robią to za ciebie. Ale nie tym razem, Ryży, nie tym razem.
- Mam złe przeczucia.
- Ty masz – wstaję – zawsze, kurwa, złe przeczucia. Weź się w garść. Wiesz, gdzie jest miejsce cip.
- Taa, na cmentarzu.
- Amen.

Ryży wychodzi, a ja zbliżam się do okna. Dwanaście godzin, tyle mamy czasu na przygotowanie się do roboty. Może nie jest prosta i łatwa, zawsze może nas zatrzymać straż graniczna, ale kto nie ryzykuje, gównu ma. Poza tym, to nie są jakieś tam byle jakie samochody. Wyższa półka, klasa premium, więc fałszywe tablice też muszą być klasa premium. Wyciągam telefon i dzwonię do kogo trzeba. Chłopak jest najlepszy w tym, co robi i pracuje dla mnie. Cholera, nikt by nie uwierzył, ale on naprawdę ma na nazwisko „Tablica”, więc został po prostu Tablica. Wybieram jego numer i czekam.

- Co tam szefie?
- Potrzebuję sześciu kompletów, powiedzmy za – spo-  
glądam na zegarek – dziesięć godzin.
- Jakies nietypowe?
- Nie, takie jak zwykle.
- Jasne, będą za pięć.
- W tym samym miejscu, co zwykle – informuję go.
- I mają pochodzić z różnych miejscowości.
- Już szukam w bazie danych.
- Widzimy się na miejscu – mówię i rozłączam się.

Tak, to jest dobry biznes, ale i niebezpieczny. Poza tym trzeba jeszcze za każdym razem przejechać granicę i wrócić do kraju. To nie ta część Europy, że można się swobod-

nie poruszać bez pieprzonych wiz. To też muszę załatwić. Wybieram numer mojego kolejnego człowieka, z którym współpracuję od lat. Dobrze mieć dłużników lub ludzi, którzy dużo mogą i dla kasy zrobią jeszcze więcej.

– Jurij – odzywam się na powitanie.

– Czarny. Co tym razem? – pyta mnie z tym swoim akcentem. Facet gada po polsku, więc jest dobrze, ale i tak daje się wyczuć z gadki, że nie jest Polakiem.

– To samo, co zwykle.

– Ile sztuk? – pyta, bo to jest jedyna rzecz, którą musi wiedzieć.

– Sześć – odpowiadam – i to tak jakby na wczoraj.

– Cholera.

– Wiesz, że nic darmo. Płacę.

– Dobra, daj mi kilka godzin.

– Masz – patrzę na zegarek i planuję w myślach na kiedy – maksymalnie sześć godzin.

– Tyle mi wystarczy. – *Chwała ci, kurwa, Panie.* – To samo miejsce odbioru, co zwykle.

– Nie ma problemu – potwierdzam i rozłączam się.

Mamy skrytkę, gdzie przekazujemy sobie dokumenty i forszę. Każda strona jest zadowolona, ale najbardziej ja.

Odchodzę od okna, łapię kluczyki od samochodu i wychodzę z salonu.

– Za godzinę ma cię tutaj nie być. Odpocznij – rozkazuję Ryżemu.

On tak samo jak i ja musi przed robotą złapać trochę snu. Zaczynamy w środku nocy, więc lepiej, żebyśmy byli wypoczęci. Wysyłam wiadomość do czwórki moich pozostałych ludzi. Gdyby ktoś ją przeczytał i tak by się nie zorientował, że jest w niej coś podejrzanego. Bo kto normalny doszukiwałby się w wiadomości: „**wyjazd do ciotki o trze-**

ciej” czegoś dziwnego? Nikt. Oni wiedzą, o co mi chodzi. A poza tym każdy z nich ma swoje życie. Rodzinę, żonę lub dziewczynę. Nie interesuje mnie to zbytnio, póki to nie wpierdala się w moje interesy. Jeśli jest odwrotnie, muszą coś z tym zrobić, żeby było dobrze. Jeśli nie, mamy zajebisty problem, a ja problemów nie lubię.

## Rita

Nienawidzę tego burdelu, bo zawsze jakiś debil musi coś spierdolić. Tym razem miało być bez problemu, ale jak zwykle ktoś dał dupy po całości, a ja odpowiadam za ten cholerny transport. Marzy mi się, że pewnego dnia w końcu rzucę to w diabły i zacznę żyć normalnie jak zwykli ludzie. Ale pewnie przez kilka najbliższych lat mogę o tym zapomnieć i to dzięki mojemu popieprzonemu ojcu, który nie potrafi używać cholernego mózgu. Jest zwykłym krety-nem. Czasem się zastanawiam, jak on tak długo przeżył na tym świecie i nikt go nie zastrzelił za jego głupotę. Cały on. A teraz jeszcze muszę oglądać tę głupią gębę.

– Jedziesz tam i wracasz, zrozumiano? – pyta mnie, jak-by miał przed sobą nedorozwinięte dziecko.

– A czy ja kiedyś nie wywiązałam się z umowy? – rzu-cam z kpina, czego on nie lubi.

– Nie, ale nie chcę cię stracić.

– Pieprzysz – warczę. – Zależy ci tylko na kasie, którą mogę dla ciebie zarobić i nic więcej. Tyle dla ciebie jestem warta – mówię dobitnie i oboje o tym wiemy.

Odwracam się i łapię kluczyki, po czym ruszam do ma-gazynu.

– Nie zawieźdź mnie, wiesz, jak to się może skończyć!  
– woła za mną.

*Dla ciebie na pewno.*

– Wiem – odpowiadam i już mnie nie ma w tym cholerym domu.

Może się skończyć tylko w jeden sposób, śmiercią. Nie wiem jedynie, czy naszej dwójki, czy może tylko jego. Zresztą może być ciekawie przy transporcie tego towaru. Nigdy nie robiliśmy tak dużego przerzutu. Ja mam jeden cel, dotrzeć za wschodnią granicę, reszta to już nie moja działka. Wiem tylko, że po drodze w Polsce ktoś dołącza.

– Nowe blachy? – dopytuję. Nie chcę żadnych niespodzianek, akurat takich bardzo nie lubię.

– Nowe – odzywa się Hem, gdy wskazuję pozostałe.

– To jedziemy. Niedługo odkryją brak tych cacek, a my musimy się dostać do Polski – mówię do chłopaków, spoglądając na tego nowego. Nie wiem, skąd mój stary go wytrzasnął. – A ty – wskazuję właśnie na niego – nie spieprz mi tego, bo pożałujesz – ostrzegam go.

– To nie pierwszy raz.

– Tak? A odniosłam inne wrażenie, jakbyś nigdy tego nie robił. Przez ciebie o mało nas nie nakryli.

– Ale nie zrobili tego, prawda?

Nie komentuję. Zadufany w sobie dupek, myślący, że jest najlepszy w tym, co robi. Tacy ludzie prędzej czy później wpadają przez własną głupotę i własne ego.

– Ale ja ci zrobię, jak mi to spierdolisz – rzucam lekko, jakby od niechcienia. Przysięgam jednak, że przestrzelilibym mu rzepkę, gdybym musiała. Nie to, że posiadam broń, bo jej nie mam.

Nie cackam się, dla mnie to być albo nie być. Nie bawię się tak jak oni. To robota, którą trzeba wykonać, ale niektó-

rzy z nich nie myślą w ten sposób, co ich doprowadzi na cholerny cmentarz.

Odpalam silnik, a jego ciche mruczenie uspokaja moje nerwy, kiedy kładę ręce na kierownicy. Cholerna pora wypróbować, co potrafi to auto. Mamy dziesięć godzin, żeby dotrzeć do celu.

Wielka garażowa brama otwiera się i wyjeżdżam jako trzecia. Gdy jesteśmy na głównej drodze, rozjeżdżamy się w różnych kierunkach, żeby dotrzeć na autostradę i stamtąd prosto przed siebie. Wysyłam chłopakom wiadomość głosową, że życzę im powodzenia. Gdy oni będą wracać z Polski do Niemiec, ja będę na Wschodzie. To jedno auto muszę dostarczyć osobiście. Jest za dużo warte, żeby trafiło, gdzie nie powinno. Przynajmniej taki kit mi wcisnęli, a jaka jest prawda, tego nie wiem. Natomiast niecodziennie można się przejechać Bentleyem GT V8. Cholera, mnie nigdy nie będzie stać na taki wóz, nawet za milion lat, ale są tacy, dla których milion złotych, euro czy jakieś innej gównianej waluty to nic wielkiego. Milionerzy i multimilionerzy żyją na tym świecie, a ja właśnie jadę furą jednego z nich. Chciałabym widzieć minę tego kolesia, kiedy rano się dowie, że jego zabawka została skradziona. Albo raczej, kiedy jego żona dowie się, że tak naprawdę nie wyjechał na żadne spotkanie służbowe, tylko spędzał upojną noc z kochanką. Skąd to wiem? Przed taką akcją zawsze robię rozeznanie terenu. Lubię wiedzieć różne dziwne rzeczy, w tym również to, że kolesz nie jest wierny żonie. Czasem to sprawia, że kradzież zgłaszają znacznie później, bo mają do stracenia jeszcze więcej niż samochód. Tak czy inaczej będzie drama.

Wypadam na autostradę, i nie przejmując się fotoradarami, rozwijam prędkość dwieście na godzinę. To cacko

potrafi jechać jeszcze ponad stówę więcej, ale to zrobię dopiero, kiedy będę po polskiej stronie. Autostrada A2 daje wiele możliwości. Raczej nikt mnie na niej nie zatrzyma, jedynie płatne bramki, które są jakąś kpina. Zapłacę, dojadę do celu, po czym wrócę. Taki mam plan. Szybko, sprawnie i nie do końca bezpiecznie.

## Czarny

Za jakie, kurwa, grzechy znowu coś idzie nie tak? Jest jebany bardzo wczesny zimowy poranek, jaja zaraz przymarzną mi do dupy, a tym tutaj zachciało się ze mną pogrywać. Patrę na stojące wozy, których miało być sześć, a jest pięć. Dostanę mniej forsy, a to mi się w chuj nie podoba. Patrę na moich ludzi, którzy dla własnego dobra trzymają gęby na kłódkę, a potem spoglądam na tych frajerów z RFN<sup>1</sup>.

– Gdzie jest ostatni samochód? – pytam, ale odpowiada mi cisza. – Ty – wskazuję jakiegoś młodego gówniarza – gdzie, do kurwy nędzy, jest ostatni samochód?

– *Ich weiss nicht* – odpowiada, ale już wiem, że to nie jego ojczysty język.

Pierdolony Polak, któremu zachciało się udawać kogoś innego? Dobrze, zabawimy się. Skoro tak chce, nie ma problemu. Podchodzę do niego na odległość wyciągnięcia ręki i się uśmiecham.

– Ja ci dam *ich weiss*, kurwa, *nicht*. Myślisz, że kogo masz przed sobą? Byle kogo? Nawet nie wiesz, kim jestem. – Wyciągam spluwę zza paska i mu ją pokazuję. – Nie rozumiesz po polsku? A mnie się wydaje, że rozumiesz.

---

<sup>1</sup> RFN to skrót od Republika Federalna Niemiec (przyp. red.).



Chyba że bardzo chcesz – odbezpieczam broń – żebym odświeżył ci pamięć? To jak będzie?

– Kurwa, dobra – odzywa się.

– O widzisz, wiedziałem, że znasz polski. – Klepię go po twarzy. – Więc, gdzie jest ostatni samochód?

– Ona go ma.

– Ona, czyli kto?

Chłopak patrzy po innych, jakby nie wiedział, czy może zdradzić mi więcej szczegółów.

– Wybacz – uderzam go pięścią w twarz – chyba się nie zrozumieliśmy. Miało być sześć samochodów, jest pięć, więc odpowiadaj mi na pierdolone pytania, bo naprawdę wrócisz do domu z kulką w rzepce lub... w plastikowym worku.

– Rita, ona ma ostatni samochód. Nie znam powodu.

– Czyżby?

– Tak. – Kiwa nerwowo głową. Boi się mnie i bardzo dobrze.

– Dokąd pojechała?

– Naprawdę nie wiem. Wysłała nam tylko wiadomość głosową, że życzy nam powodzenia.

– Pokaż telefon, ale ostrożnie.

– Masz. – Koleś wyciąga urządzenie i odbezpiecza drżącą ręką.

To jej nagranie. Słucham, co ta kobieta mówi.

**„Chłopaki, powodzenia, widzimy się w domu”.**

Tylko tyle? Cholera, nic mi to nie pomoże i zdaje się, że ten tutaj mówi prawdę. Chowam broń, robię krok w tył i spoglądam na nich.

– Spierdalać, wszyscy – warczę i rzucam mu telefon.

– Macie pół minuty.

Zmywają się i to szybciej, niż mógłbym policzyć do trzech. Odczekuję chwilę i zwracam się tym razem do moich ludzi.

– Jedziemy. Bez brawury, spokojnie. Jeśli któregoś zła-  
pią, wiecie, co macie robić i gdzie dzwonić. Nie chcę żad-  
nych pieprzonych niespodzianek. Czy to jest jasne?

– Jak słońce, szefie – odzywają się.

Bez oglądania się za siebie wsiadam do samochodu i od-  
razu odpalam silnik. Nienawidzę mroźnej zimy, kiedy mu-  
szę coś załatwić. To nie tak, że muszę robić to sam, bo nie.  
Mam od tego ludzi. Oni mogliby zrobić przerzut lub zwy-  
czajnie wywieźć je na lawecie, ale czasem lubię wiedzieć,  
co się dzieje. Dlatego od czasu do czasu sam biorę udział  
w tego typu akcjach, chociaż nie muszę. Zasadniczo auta  
powinny jechać na lawecie, ale gdzie zabawa? Dreszczyk  
adrenaliny dodaje temu wszystkiemu innej otoczki. Życie  
nie może być zbyt nudne.

Wyjeżdżam z miasta i kieruję się na wschód w kierunku  
granicy. Mamy dosłownie z dwieście kilometrów, więc zaj-  
mie nam to niezbyt dużo czasu. Nie jedziemy autostradą,  
tylko bocznymi drogami do przejścia Sławatycze-Domacze-  
wo. Wyznaję zasadę, że ludzie to przekupne mendy, więc  
zawsze można dać komuś w łapę za bezproblemowy prze-  
jazd. Ludzie zawsze mają jedną słabą cechę – są pazerni na  
pieniądze, a kiedy ich nie mają, zrobią dla nich dużo. Czym  
jest więc przymknięcie oka na takich jak my, kiedy sowiec  
płacę? Niczym. Oni są zadowoleni, tak samo i ja.

Plan jest zawsze taki sam: przejeżdżamy przez przejście  
graniczne w około dwugodzinnych odstępach czasowych.  
Na ogół lepiej nie wzbudzać podejrzeń, ale nie dzisiaj. Dzi-  
isiaj jesteśmy wszyscy w jednym miejscu. Za dużo mam  
kasy do stracenia, żeby ktoś mi spierdolił plan. Zapłaciłem

komu trzeba, a w razie czego dorzucę jeszcze kilkaset dolarów. Mam nadzieję, że obejdzie się bez większych kłopotów. A co do tego ostatniego samochodu, mam nadzieję, że kimkolwiek jest ta kobieta, będzie miała pod górkę. Przez tę sukę zarobię mniej forsy. Mam nadzieję, że jej nigdy nie spotkam, bo nie jestem pewien, co bym jej zrobił.

## Rita

Zatrzymuję się przed przejściem granicznym w lesie. Prowadząc taki samochód, muszę wyglądać jakby mnie było na niego stać. Nikt ze straży granicznej nie uwierzy, że jest moje, kiedy jestem ubrana tak jak teraz, czyli w skórzaną kurtkę i takie same spodnie. Wsiadam i sięgam do bagażnika po torbę, w której mam rzeczy na zmianę. Cholera, nienawidzę tego. Nie cierpię tych pieprzonych przebierańek. Chryste, jakby mój stary nie mógł zadrzeć z kimś innym niż jakaś cholerna mafia.

Mróz szczypie mnie w odkrytą skórę ramion oraz brzucha, gdy zamieniam spodnie na sukienkę. Szlag by to trafił. Mam problem, żeby wbić się w materiał, który od zimna sztywnieje w dłoniach. W końcu udaje mi się jakoś to na siebie włożyć. Zawieszam na szyi tanie, badziewne sztuczne perły, których nikt na pierwszy rzut oka nie rozpozna. Związuję włosy i zakładam na głowę blond perukę do ramion. Upycham swoje ubrania do torby, z której wyciągam jeszcze futro i po dwóch sekundach siadam za kierownicą. Rzucam mój bagaż w nogi pasażera, futro kładę na miejscu obok, po czym przeciągam usta czerwoną pomadką. Cholera, wyglądam jak rasowa dziewczyna ze wschodu, lubiąca luksus. Sprawdzam dokumenty. W paszporcie,

który jest fałszywy, widnieję jako Lena Zabudzka. Też sobie wymyślili. Powtarzam kilka razy w głowie swoje nowe nazwisko, po czym wyjeżdżam z lasu i ruszam drogą do przejścia granicznego. Wybrałam takie, gdzie ruch odbywa się całą dobę. Ustawiam się w kolejce za innymi samochodami i czekam. Przedemną stoi tylko kilka aut i liczę, że przejadę bez problemu. Fałszywe dokumenty samochodu, moje, plus podmienione tablice rejestracyjne, dadzą mi przepustkę.

Mija trzydzieści minut, aż w końcu nadchodzi moja kolej. Kiedy widzę zmierzających do mnie kobietę i mężczyznę, zaciskam usta. Nie mam nic do kobiet, ale babki w mundurach bywają sukami. Opuszczam szybę i podaję im mój paszport.

– Mam nadzieję, że pobyt był udany – odzywa się kobieta, która uważnie mnie lustruje, rzucając okiem na futro. A nie mówiłam? Może dla niej nie wyglądam na Lenę, ale nie obchodzi mnie, co sobie myśli, ma mnie tylko przepuścić.

– Powiedzmy – odzywam się.

– Polka – mówi zaskoczona.

– Owszem, mam tylko męża nie-Polaka.

– Oczywiście. – Podaje mi dokumenty, ale nie puszcza ich, kiedy je łapię. – Nic do oclenia?

– Nie.

– Dobrze.

– Dziękuję. – Odbieram od niej paszport.

Zasuвам szybę i powoli odjeżdżam, czując napięcie w całym ciele. Wiem, że różnie może być. Ufam w głupie szczęście, że nigdzie nie podano jeszcze informacji o skradzionym samochodzie. Odliczam po cichu w głowie do dziesięciu i jeszcze tylko chwila, jeszcze tylko moment i będę po drugiej stronie. Kiedy mijam całkowicie przejście graniczne, do-

słownie czuję, jak serce łomocze mi w piersi. Nienawidzę tej roboty. To zawsze może być ostatni raz. Zresztą to będzie ostatni raz, bo więcej nie biorę tego gówna. Niech stary robi sobie, co chce, ale ja się z tego wypisuję.

Odjeżdżam i jakieś pięć kilometrów dalej zatrzymuję się na poboczu. Muszę zaczerpnąć świeżego powietrza. Poczuc, że wciąż żyję. Kiedy tylko wychylam głowę z samochodu, zimno od razu uderza w moje rozgrzane policzki, studząc je z nadmiaru adrenaliny. Stawiam nogi stabilnie na ośnieżonej drodze. Opieram dłonie o dach samochodu, wciąż mając niewielki supel zawiązany w żołądku. To nie jest bułka z masłem. Bardzo wiele kosztuje mnie przekraczanie granicy, zwłaszcza, że muszę być opanowana. Biorę kilka oddechów, a obłoczki pary unoszą się w powietrzu. Jest zimno jak cholera, jednak to pozwala mi odrobinę ostygnąć. Pozbyć się uncji nerwów. Przeszywające zimno sprawia, że nie stoję zbyt długo na zewnątrz. Po dwóch minutach wsiadam z powrotem za kierownicę. Nie ściągamy peruki, jeszcze nie teraz. Dopiero kiedy oddam auto, będę mogła być sobą.

Patrzę w boczne lusterko, po czym wracam na drogę i ruszam do celu. Zostało mi jeszcze kilka dobrych kilometrów, a potem wrócę z powrotem z kimś, kto ma mnie podrzucić do przejścia granicznego dla pieszych. Wciąż nie rozumiem, dlaczego poproszono, żebym to akurat ja dostarczyła ten samochód osobiście. Klient płaci, klient żąda, ale i tak wszystko pozostaje dla mnie bardzo dziwne i nie do końca zrozumiałe. Można byłoby samochód przerzucić na lawecie wraz z innymi, ale... Mam nadzieję, że wszystko pójdzie sprawnie i bez problemów. Nie lubię, jak coś się pieprzy. To nigdy nie wychodzi człowiekowi na dobre, a ja już w życiu miałam niezbyt przyjemne sytuacje.